



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Zofia Szyszkowska

Dziecko z kresów

W latach 1928-1936 moja rodzina mieszkała w Przebrażu w powiecie łuckim, a następnie przeniosła się do Hodomicz, ukraińskiej wsi nad rzeką Styr. Ojciec, Stanisław Bochniewicz, był kierownikiem 4-klasowej szkoły powszechnej, a matka – Bronisława – nauczycielką w Hodomiczach. Wieś zamieszkała była w większości przez nacjonalistów ukraińskich wrogo nastawionych do Polski i Polaków. Jak się później okazało działała tam również organizacja komunistyczna, a kilku jej członków było więzionych w Berezie Kartuskiej. Podczas aresztowań w 1939 roku ojciec ujął się za jednym biednym Ukraińcem twierdząc, że nie ma on nic wspólnego z komunizmem, żyje w skrajnej nędzy, a rodzina jego jest wielodzietna i dzieci do szkoły chodzą na zmianę, gdyż nie mają butów.

W sierpniu 1939 roku było już niemal pewne, że wybuchnie wojna. W związku z tym rodzice nie posłali mojej starszej siostry Anny do gimnazjum w Maciejowie pod Kowlem, a mnie do szóstej klasy szkoły powszechnej w Kolkach. O wybuchu wojny dowiedzieliśmy się 1 września z jedyne go radia we wsi, które znajdowało się u nas w szkole. Po wysłuchaniu komunikatu ojciec strasznie się zdenerwował. Bez przerwy palił papierosy. Matka rozpaczliwie płakała. My dzieci tuliłyśmy się do niej pytając co z nami będzie. Pocieszała nas jak mogła twierdząc, że Bóg nad nami czuwa i wszystko jakoś się ułoży. W tym samym dniu zrobiła zakupy w sklepie przynosząc do domu cukier, sól, mydło, zapalki, naftę i inne niezbędne artykuły.

W pierwszym dniu wojny dzieci nie przyszły do szkoły. Po kilku dniach zaczęli przybywać pierwsi uciekinierzy z zachodniej Polski, którzy zatrzymywali się tutaj na kilka godzin lub całą dobę, a następnie ładowali cały swój dobytek na własne lub wynajęte furmanki i wyruszali dalej na wschód do rodzin i znajomych. Rodzice otaczali ich serdeczną opieką dzieląc się wszystkim co posiadali. Na dłuższy pobyt zatrzymał się u nas w szkole profesor z gimnazjum z Bytomia, który wyskakując przez okno własnego mieszkania uratował się przed aresztowaniem. Matka z dużą troską zaopiekowała się nim, ponieważ był poważnie chory. Kilka dni po jego przybyciu pojawiła się trzyosobowa rodzina – mężczyzna bez ręki (były pracownik starostwa) z żoną i kilkuletnią córką. Około 15 września, kiedy wojska niemieckie zaczęły się zbliżać do naszych stron, profesor razem z tą rodziną załadował się na furmankę i wyruszył na wschód. Już jednak dwa dni później powrócili do Hodomicz, gdyż dowiedzieli się, że Armia Czerwona wkroczyła na nasze ziemie wschodnie. W kancelarii szkolnej u ojca wisiała duża mapa Polski, na której zaznaczał szpilkami ruchy wojsk niemieckich. Wszyscy widząc sytuację płakali, bo nie było dokąd uciekać, byliśmy okrążeni.

Już 18 września 1939 roku z rana do naszego mieszkania weszło kilku Ukraińców z Hodomicz. Zabrali doskonałą strzelbę myśliwską i pas z nabojami, a następnie zażądali garnituru, obuwia i bielizny.

Pamiętam, że ojciec wszystko im dawał, a jeden z nich ubierał się w to. Patrząc na nich nie mogłam zrozumieć, jak to się dzieje, że w tej na pozór spokojnej wsi, gdzie panowało przed wojną wzajemne zrozumienie i sąsiedzi nawzajem sobie pomagali, może dochodzić do takich czynów.

Wieczorem, chyba 21 września, przejeżdżały przez naszą wieś dwie furmanki z kobietami i dziećmi, kierując się w stronę wsi Czetwertni (3-4 kilometry od Hodomicz), gdzie można było przeprowić się promem przez rzekę Styr. Towarzyszyli im oficerowie i żołnierze polscy z bronią gotową do strzału. Przed szkołą wywołali ojca, aby dowiedzieć się, czy nie ma w pobliżu jakiegoś wojska, a upewniwszy się, że w okolicy panuje spokój, udali się w dalszą drogę. Później dowiedzieliśmy się, że przepływających promem przez Styr żołnierzy z rodzinami ostrzelano z obu brzegów. Nikt się nie uratował.

Na wsi rozpoczęły się przygotowania do przyjęcia Armii Czerwonej. Ukraińcy zbudowali bramę tryumfalną przystrajając ją kwiatami, zielenią i chorągiewkami. Naśmiewali się przy tym z nas – Polaków, że tak szybko utraciliśmy swoją ojczyznę. Rankiem 19 września zjawił się w szkole Pawłusz – były woźny, zwolniony przez ojca za pracy za kradzież. Wszedł do klasy ze swoimi kompanami, zawołał naszą mamę i nakazał jej po ukraińsku: „zdejmij portrety tych bandytów – Piłsudskiego i Mościckiego oraz orła”. Matka ostro odpowiedziała, po ukraińsku, że tych portretów nie wieszała i zdejmować nie będzie. Następnie wyszła z klasy nie zatrzymywana przez nich.

W sąsiedniej wsi Borowicze za rzeką Styr przechodziły grupy polskich żołnierzy cofających się na wschód. Były one ostrzeliwane przez Ukraińców ukrytych we młynie oraz w okolicznych domach i stodołach. W zasadzkach tych uczestniczyli synowie barona ukraińskiego Nesterowicza, którzy zostali później wywiezieni przez Sowieców na Sybir. Między regularnym wojskiem i bandytami wywiązała się prawdziwa bitwa, w wyniku której młyn i kilka zagród we wsi zostało spalonych. Na drugi dzień, chyba 20 września, wpadł z rana do szkoły właściciel młyna – Żyd z kilkoma Ukraińcami uzbrojonymi w karabiny i w ramach zemsty chciał zabić naszego ojca. Wycelował w niego karabin pieniąc się z nienawiści i wymyślając w najbardziej ordynarny sposób. Od niechybnej śmierci uratowała ojca matka, która uderzyła laską w karabin i zaczęła krzyczeć na Żyda przypominając mu, ile zawdzięcza kierownikowi szkoły i zapewniając, że jego rodzina nie zginęła. Na szczęście w tym całym dramatycznym zamieszaniu ktoś zza Styru wpadł do szkoły z okrzykiem, że rodzina młynarza żyje.

Pawłusza – były woźny, obawiając się naszej ucieczki z Hodomicz, zorganizował wartę w szkole. Zabronił nam i zgromadzonym u nas uciekinierom oddalania się z tego miejsca. W klasach zorganizował areszt, w którym trzymał schwytych i rozbrojonych żołnierzy polskich oraz osoby cywilne. Więźniów wyprowadzał następnie nad rzekę Styr i topił. U niektórych mieszkańców wsi widzieliśmy później zegarki, papierońnice i inne rzeczy pomordowanych.

Pewnego dnia z rana przyprowadzono sekretarza gminy Trościaniec pana Fiecyka z drugim urzędnikiem, dobrych znajomych moich rodziców, z rękami związanymi z tyłu drutem kolczastym. Ojciec prosił strażników, żeby ich uwolnili, bo nikomu nic złego nie zrobili. Nic to jednak nie pomogło. Zezwolono ojcu jedynie na podanie pojmanym zapalonych papierosów do ust. Zaraz potem wyprowadzono ich, a po jakimś czasie zobaczyliśmy na ręku Pawłuszy zegarek pana Fiecyka.

Nocami strażnicy ukraińscy budzili nas często szczękaniem broni, krzykiem oraz nawoływaniem. Chcieli nas w ten sposób zastraszyć. I rzeczywiście żyliśmy w ciągłym strachu, nie wiedząc co nas może spotkać.

Po jakimś czasie Pawłusza ze swoimi kompanami oznajmił nam, że na rano mamy być gotowi do wyjazdu, tylko z tym, co mamy na sobie. Tego dnia wieczorem zjawiła się w szkole warta zorganizowana przez miejscowych komunistów, która pilnowała, aby nic złego nam się nie stało. Okazało się bowiem, że ten biedny Ukrainiec, którego ojciec uratował przed więzieniem w Berezie Kartuskiej był przewodniczącym partii komunistycznej na nasz rejon.

Trzeba zaznaczyć, że wielu mieszkańców wsi darzyło naszą rodzinę szacunkiem i sympatią, pomagając nam w tej trudnej sytuacji. Rodzice do niedawna bardzo się udzielali społecznie. Ojciec prowadził chór, który śpiewał piosenki polskie i ukraińskie, urządzał przedstawienia, dożynki, zabawy itp. W niedziele na prośbę mieszkańców zebranych na boisku szkolnym stawiał głośnik w oknie, aby mogli słuchać audycji radiowych w języku ukraińskim i rosyjskim. Matka, znająca świetnie rosyjski i ukraiński, pomagała miejscowym kobietom w różnych sprawach, a w razie choroby dzieliła się posiadanymi lekarstwami.

W czasie, kiedy oczekiwaliśmy na wyjazd ze wsi Hodomicze, przebywających u nas uciekinierów (profesora gimnazjum oraz wspomnianą trzyosobową rodzinę) wywieziono w nieznanym kierunku. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co się z nimi stało.

W czasie całego tego chaosu panującego w naszej wsi rodzice postanowili uciec do Przebraża, gdzie kiedyś przez kilka lat pracowali, a stamtąd dotrzeć do władz radzieckich w Kiwercach i Łucku celem wyjaśnienia sytuacji i szukania pomocy. Wyszli z domu podczas zmiany pilnujących nas strażników. Niedaleko domu spotkali miejscowego popa Szyprykiewicza, z którym utrzymywaliśmy serdeczne stosunki towarzyskie. Poprosili go o opiekę nad pozostawioną w domu trójką bezbronną dzieci i powiadomienie strażników, kiedy odkryją ich nieobecność, że udali się do władz radzieckich po pomoc.

Do Przebraża było od nas około 25 kilometrów. Rodzice pokonali tę odległość obchodząc pięć ukraińskich wsi. Na miejscu zostali serdecznie przyjęci, a następnie udali się furmanką do Łucka (około 25 kilometrów), gdzie u radzieckich władz szkolnych załatwili sobie przeniesienie do szkoły w Przebrażu. Otrzymali też pismo do sołtysa Hodomicz, aby nie utrudniano nam wyjazdu.

Pilnujący szkoły strażnicy kilka godzin po ucieczce rodziców zorientowali się, że nie ma ich w domu. Kiedy wpadli do nas z krzykiem i pytali, gdzie są, odpowiedzieliśmy zgodnie z prawdą, że poszli szukać opieki u władz radzieckich i wyszli już bardzo dawno temu. Po południu pojawił się Pawłusza żądający kluczy od drzwi i szaf.

Rodzice powrócili do nas dopiero na trzeci dzień. Przywiózł ich furmanką z Przebraża pan Gala. Mama dowiedziała się, że w sklepie Iwana odbywa się zebranie z przedstawicielami władz radzieckich i po uzyskaniu zgody wartowników udała się tam razem z ojcem. Do sklepowej świetlicy dostali się pomimo oporu niektórych Ukraińców, a szczególnie Iwana. Zaraz na wstępie mama zwróciła się po rosyjsku do przedstawicieli władz radzieckich z prośbą o pomoc w wyjeździe do wsi Przebraże. Jednocześnie pokazała pismo od władz oświatowych z Łucka. Zaznaczyła też, że boi się o życie całej rodziny, bo niektórzy mieszkańcy wsi oświadczyli, iż „Lachów nie chcą jako nauczycieli ich dzieci”. Po jej wystąpieniu jeden z Sowietów zapytał zebranych na sali mieszkańców, czy nauczyciele byli źli. Tamci odpowiedzieli, że byli dobrzy, ale chcą mieć swoich. Na koniec sowiecki oficer zapewnił mamę, że może spokojnie iść do domu, bo nic złego naszej rodzinie się nie stanie. Tymczasem na drugi dzień nowo wybrane władze wsi wezwały ojca do swojej siedziby, gdzie został aresztowany. Od razu odwieziono go do aresztu gminnego w Trościańcu, a kilka dni później razem z osadzonym tam kierownikiem szkoły powszechnej z Trościańca panem Lipskim trafił do więzienia w Łucku. Zwolniony został dopiero po czterech miesiącach dzięki wstawiennictwu wielu mieszkańców Hodomicz.

Dzień po aresztowaniu ojca wieś jakby się uspokoiła, a straż pilnująca terenu szkoły została usunięta. Matka korzystając z sytuacji załatwiła u nowych władz wiejskich cztery furmanki w celu przewiezienia części naszego dobytku do Przebraża. Tym transportem pojechałam ja. Dwa dni później wczesnym rankiem przebrażanie wysłali do Hodomicz sześć furmanek, na które mama załadowała moje siostry – Annę i Teresę oraz pozostałe rzeczy. W czasie pakowania dobytku przyszedł Pawłusza, który zamknął spiżarnię i uniemożliwił zabranie części zapasów żywnościowych.

Po przybyciu do Przebraża matka zorganizowała nauczanie w polskiej szkole 4-klasowej. Niedługo powrócił do nas ojciec, który stanął na jej czele jako dyrektor. W tym czasie szkoła została zreorganizowana na styl radziecki i stała się niepełną szkołą średnią w zakresie sześciu klas. Jednocześnie władze radzieckie przeniosły wszystkich uczniów o rok do niższej klasy. Grono nauczycielskie powiększyło się o Franciszka Walasa, byłego kierownika w Zofiówce. Znaleźli się tu również – dr Stachowski, uciekinier ze Lwowa, polonista na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza oraz Zofia Święcicka, która przed wojną ukończyła tzw. małą maturę.

Do szkoły w Przebrażu, do klas 5 i 6 uczęszczały również dzieci z sąsiednich wsi polskich. Językiem wykładowym był polski, ale nauczano również ukraińskiego, rosyjskiego i niemieckiego. Dodatkową trzecią klasę wynajęto u Stanisława Martynowicza, a później bliżej, u Cybulskich. Każdy z nauczycieli wykładał po 2 – 3 przedmioty. Poziom nauczania był wysoki, toteż szkoła cieszyła się uznaniem tamtejszej społeczności. Starano się rozwijać aktywność młodzieży poprzez organizację chóru, orkiestry, zespołu teatralnego i zespołów tanecznych.

W lutym 1940 roku część naszych kolegów i koleżanek wywieziono na Syberię. Były to rodziny leśniczych, gajowych i osadników wojskowych. Bardzo to przeżyliśmy. W dzień wywózki przez okno w klasie widzieliśmy furmanki załadowane rodzinami ze skromnym dobytkiem, eskortowane przez żołnierzy sowieckich. Jeden z naszych kolegów, syn gajowego, kiedy zobaczył swoich rodziców rzucił się do wozu. Starano się go zatrzymać, nawet rodzice odpychali go, aby pozostał, ale się nie zgodził. W końcu przyniesiono mu ubranie i tornister i razem z rodzicami wyjechał w głąb Rosji.

Nauka w szkole trwała do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. O możliwości wybuchu konfliktu nic się wcześniej nie mówiło, toteż byliśmy bardzo zdziwieni widząc 22 czerwca 1941 roku wielką liczbę samolotów lecących na wschód. Niedługo potem kazano wszystkim chłopom oddawać konie dla armii. W następnych dniach w lasach otaczających Przebraże zaroilo się od żołnierzy radzieckich. Przez cały ten czas przez wieś przesuwali się duże grupy wojsk, bo walki toczyły się już pod miastem Łuck. Rosjanie uciekali w panice pozostawiając wszelkiego rodzaju broń, albo masowo oddawali się do niewoli. Rannych spod Łucka kładziono w szkole na podłodze i w sąsiedniej stodole pana Gali. Stół operacyjny ustawiono za szopą, maskując ją ściętymi gałęziami. Byliśmy zmuszeni wyprowadzić się ze szkoły i zamieszkać u pana Martynowicza. Ludzie zaczęli kopać schrony, które przydały się podczas niemieckiego bombardowania. Z opowiadać mieszkańców wsi Jezioro dowiedzieliśmy się, że u nich zniszczone zostały od bomb dwa samochody radzieckie z wojskiem, które zatrzymało się u popa. Dom popa uległ uszkodzeniu. Zginęło kilku żołnierzy, kilku innych było rannych, a z rozwalonych samochodów rozsypały się różne papiery. Ludzie mówili, że znaleźli listy, z których wynikało, że mężczyźni z okolicznych wsi polskich mieli być zlikwidowani przed opuszczeniem terenu przez Sowietów.

Na drugi dzień od rana sprzątałśmy nasze mieszkanie w szkole. W oknach nie było już ani jednej szyby. Wieczorem podjechało pod budynek na motocyklu i w łaziku pięciu niemieckich żołnierzy. Spytałi naszego ojca, czy w okolicy są wojska sowieckie. Ojciec odpowiedział, że wczoraj rano opuścili wieś. Niemcy zdecydowali, że pozostaną na noc w szkole w naszym mieszkaniu. Na trzeci dzień, kiedy przyszedliśmy tam od rodziny Martynowiczów, żołnierzy już nie było.

Na wsiach ukraińskich ponownie zapanowała radość. Zaczęto budować kolejne bramy powitalne, sypać kopce, jako symbol pogrzebanych Lachów i Sowieców. Powoływano ukraińskie organy władzy, bo spodziewano się, że Niemcy utworzą Samostijną Ukrainę. Na powierzchnię wypływały szowinistyczne organizacje ukraińskie. Ukraińcy uzyskali większe prawa nauczania swojego języka w szkołach. Tworzyli też własną policję.

W tym czasie moi rodzice zostali zwolnieni z pracy. Kierowniczką szkoły została była nauczycielka w 2-klasowej szkole w Zagajniku – Wincentyna Jacewicz. Nauczyciela, Ukrainca, przysłano z innej wsi. Ojciec zatrudnił się przy wyrębie lasu, a my z siostrą Anną miałyśmy załatwione papiery, że pracujemy razem z nim przy zbiorze żywicy. W ten sposób byliśmy zabezpieczone przed wywózką do Niemiec. Nauczyciel dr Stachowski został kościelnym w kaplicy we wsi Jezioro. W naszym mieszkaniu rodzice zorganizowali tajne nauczanie dla kilku osób w zakresie szkoły średniej. My z siostrą również brałyśmy w nim udział. Nauczycielami oprócz rodziców byli – dr Stachowski oraz Franciszek Walas.

Na przełomie lat 1942/1943 miały miejsce sporadyczne mordy polskich rodzin zamieszkałych z dala od większych osiedli. Początkowo sądzono, że były to napady rabunkowe. Potem zaczęły ginąć całe mniejsze kolonie polskie. Nieliczne osoby, którym udało się ująć z życiem informowały nas, że sprawcami są zorganizowane grupy nacjonalistów ukraińskich z UPA działające razem z policją ukraińską, tzw. schucmanami. Potocznie grupy te były nazywane bulbowcami. W Przebrażu szukali schronienia Polacy z okolicznych wsi i kolonii. Zaczęto tworzyć samoobronę przed bulbowcami, a jednym z jej organizatorów został nasz ojciec.

Powrót do kraju, tzn. opuszczenie naszego domu w Przebrażu, był równie dramatyczny jak cały okres wojny na kresach. Dlaczego musieliśmy wyjeżdżać? Otóż w czasie wychodzenia 1 Armii WP z rejonu Kiwerc przyjaciel uprzedził ojca, że grozi mu aresztowanie przez NKWD. Aresztowania odbywały się już w na szeroką skalę. Przed wyjazdem z Kiwerc ojciec namawiał dyrektora szpitala doktora Kałużyńskiego, aby uciekał z rodziną, ale tamten nie uwierzył. Wkrótce został aresztowany i do Polski powrócił dopiero po dwóch latach.

Matka uczyła języka polskiego szefa uzbrojenia 1 Armii WP, radzieckiego pułkownika Antoninę Prystawko-Piotrowską (sztab uzbrojenia zajmował całą szkołę). W czasie jednej z rozmów zwierzyła się jej, że mamy rodzinę w Zamościu i chcielibyśmy tam wyjechać, brakuje nam tylko stosownych dokumentów. Antonina Prystawko-Piotrowska natychmiast przygotowała właściwe papiery i ustaliła, że wyjedziemy z Przebraża w mundurach żołnierzy polskich, udamy się w rejon Kiwerc, a stamtąd razem z jednostką wojskową wyruszymy w kierunku Lublina. Ojciec z moją starszą siostrą Anną nie czekając poszedł piechotą do Kiwerc. Tam przebrali się w mundury i jakimś przypadkowym samochodem wojskowym dotarli bez przeszkód do Zamościa, gdzie mieszkała siostra ojca Bronisława Różycka, której mąż – przedwojenny major dyplomowany Roman Różycki – przebywał w tym czasie w Oflagu.

Niedługo potem ojciec postarał się w Wydziale Oświaty o pracę dla siebie i mamy w szkole w Łaziskach, 16 kilometrów od Zamościa. Do września 1944 roku cała nasza rodzina była już w nowym miejscu. Z wdzięcznością wspominaliśmy nieocenioną pomoc płk Antoniny Prystawko-Piotrowskiej, dzięki której mogliśmy powrócić do ojczyzny. Rodzice podjęli pracę, a my z Anką natychmiast rozpoczęłyśmy naukę w gimnazjum ogólnokształcącym w Zamościu. Młodsza siostra Teresa mieszkała z rodzicami uczęszczając do szkoły podstawowej w Łaziskach.